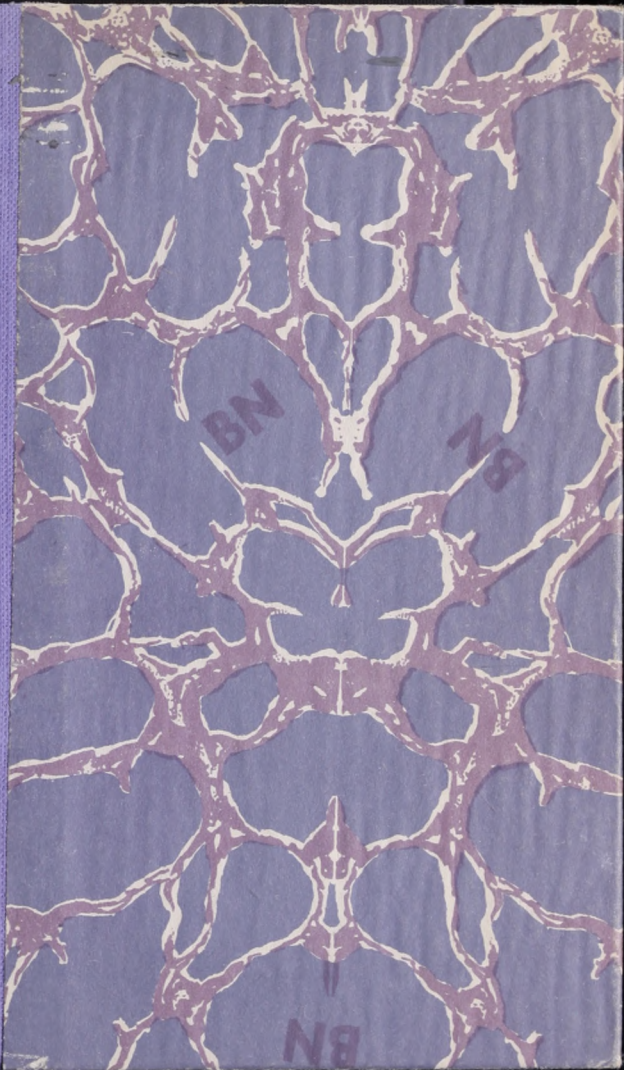
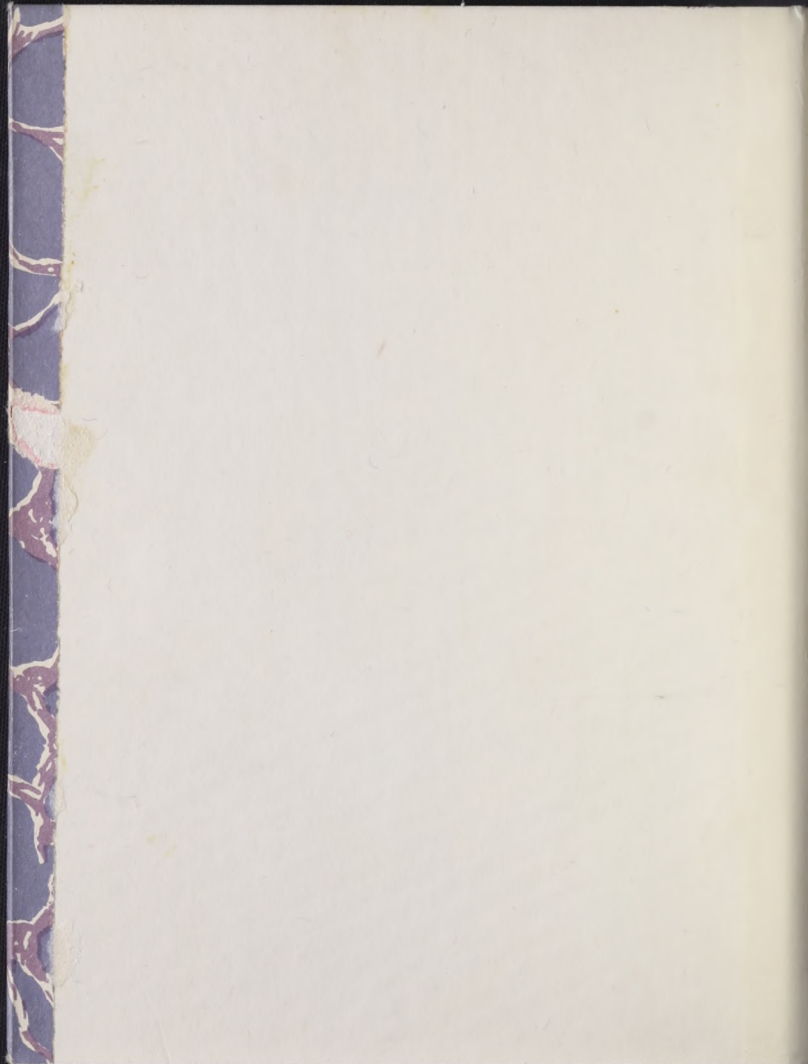
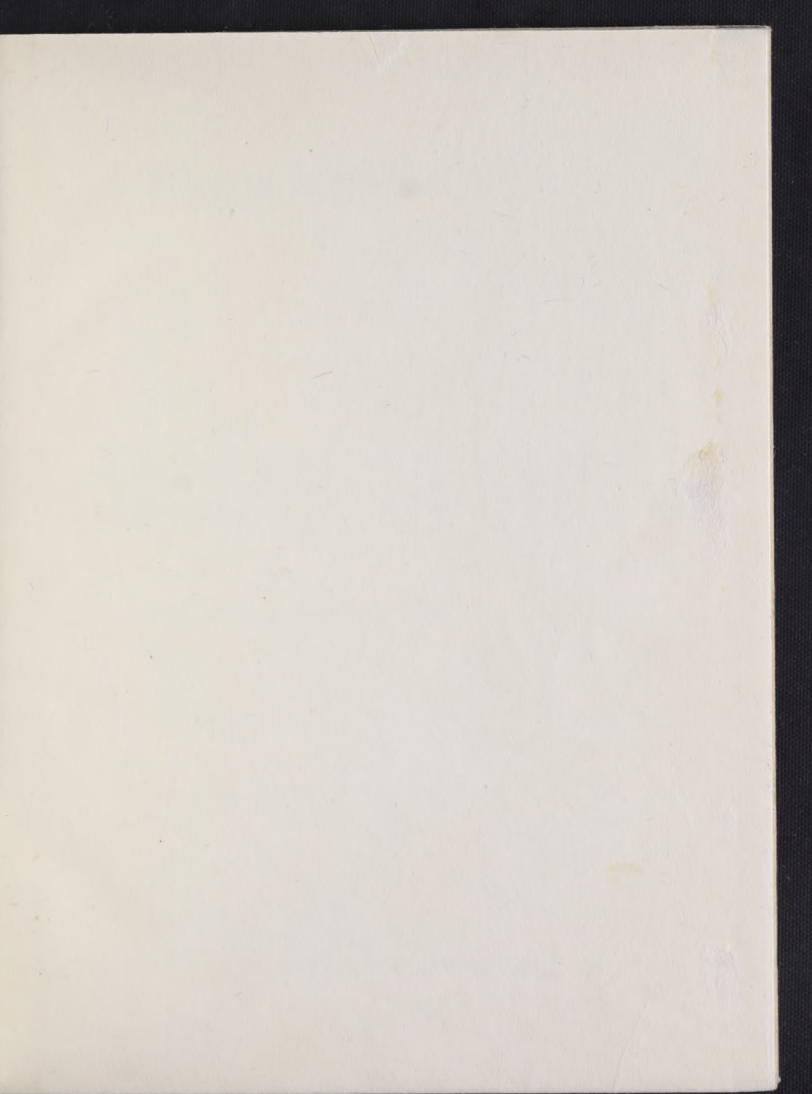
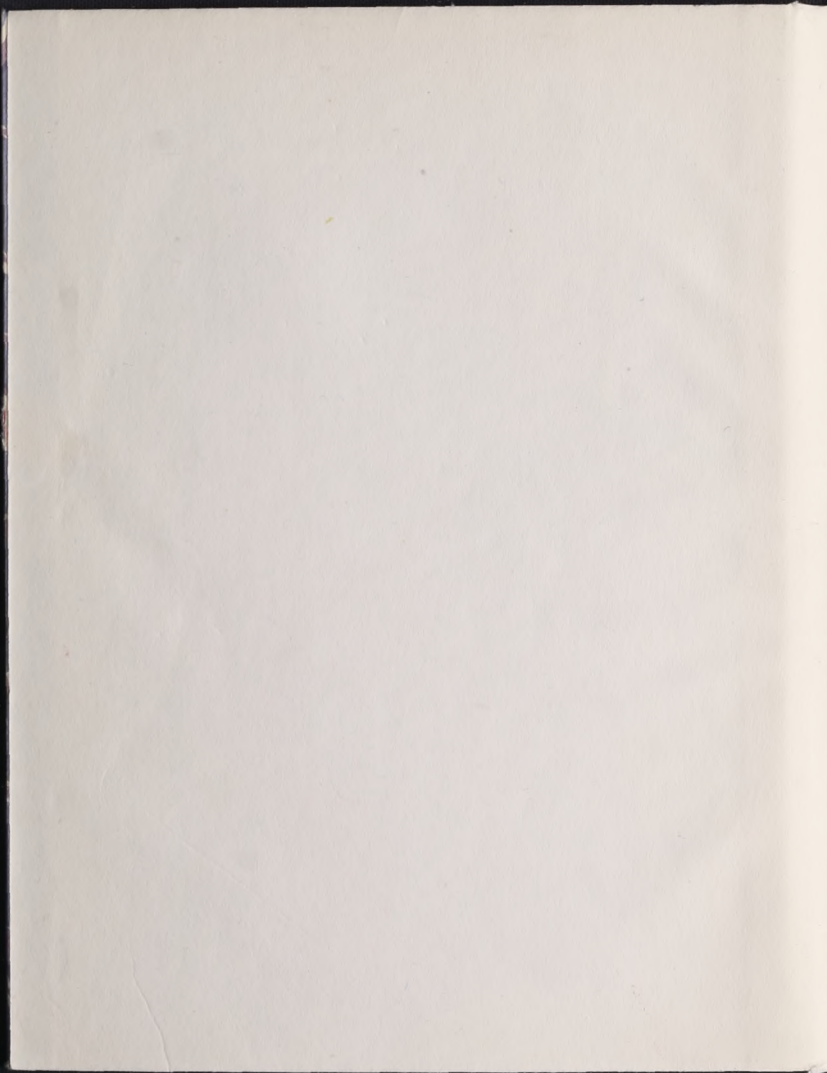


1463891









Wielki księgozbiór w domu piloskup. 12.
I 1.463.891

WILLIAM HORNING

TRAGICZNY KONIEC

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

5113

LWÓW — 1924.
NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO”.



I 1.463.891



W drukarni „Słowa Polskiego”, Lwów, Zimorowicza 15.
Zarządca: Wilhelm Ant. Skrzyczyński.

Bank kolonialny w Geelong w Australji został pewnego dnia doszczętnie ograbiony przez zamaskowanego zoczyńcę, uzbrojonego od stóp do głów. Po dziesięciominutowym pobycie w tynże banku uniósł ze sobą dziewiętnaście tysięcy funtów szterlingów, w papierach wartościowych, banknotach i złocie.

Gdy wiadomość ta zaczęła obiegać miasto, grałem właśnie w tenisa u moich znajomych i zbierałem się do odejścia, gdy w tym samym czasie weszły do salonu żona i córka dyrektora owego banku obie w najwyższym stopniu przerażone i zdenerwowane, a podczas gdy matka opowiadała chaotycznie szczegóły zbrodni, w niebieskich oczach córki widniała niema rozpacz. Dowiedzieliśmy się od nich, że kiedy obie siedziały przy śniadaniu w swem prywatnem mieszkaniu, przytykającym do banku, jeden z urzędników wbiegł do pokoju z oznakami niedającego się opisać wzburzenia i w kilku słowach opowiedział im tragiczne zajście. I on wyszedł był na śniadanie w południowej porze, a gdy wrócił do banku po krótkiej nieobecności, zastał kasjera i buchaltera

zamordowanych, a kasę ograbioną. Śladów krwi nie było. Sądząc po rewolwerze leżącym pod kantorem, wriioskować było można, że jeden z urzędników chciał z niego zrobić użytek, ale niestety broń była nie nabita. Nieszczęśliwa żona dyrektora obawiała się zgubnych następstw dla swego męża, który bezwątpienia zostanie usuniętym ze swego dotychczasowego stanowiska.

Pożegnałem zebranych, a idąc ku domowi myślałem ze smutkiem o losie tych dwojga ludzi, którym na starość groziła nieunikniona ruina i o ich pięknej córce, która niebawem zmuszona będzie oglądać się za miejscem bony lub guwernantki. Myśl o niedoli godzącej nagle w tych biednych ludzi pochłoneła mię omal więcej niż sam fakt ograbienia kasy. Skierowałem kroki w ulicę prowadzącą do Banku kolonialnego i wkrótce stanąłem przed jego bramą. Hałaśliwy tłum oblegał dokoła budynek, którego drzwi były dla wszystkich zamknięte. Tu nie dowiedziałem się żadnych nowych szczegółów, prócz tego, że złodziej miał czarną brodę. Wieczór także nie przyniósł wyświeślenia tajemnicy, która wstrząsnęła Salem miastem i rozczarowany zdążyłem ku domowi, gdy najniespodziewaniej natknąłem się na jednego z moich dawnych kolegów.

— Deedes — zawołałem.

— Młody człowiek odwrócił się w moją stronę,

a wtedy nie miałem już żadnej wątpliwości co do jego tożsamości. W jego spojrzeniu zamigotało to samo nieokielzane zuchwałstwo, które dziesięć lat temu zagoryczyło życie dyrektorowi naszego kolegium.

— Niemam przyjemności znać pana — wycedził przez zęby — czego pan sobie życzy?

— Przecież byliśmy w jednej klasie, byłem młodszym od ciebie, nie pamiętasz? nie byłbym nigdy przypuszczał, że tu się spotkamy.

— Proszę mi wymienić swoje nazwisko — powiedział zdruzonym tonem.

W tej chwili przypomniałem sobie, że zostałem wyrzuconym z naszego kolegium i połapałem się po niewczasie na popełnionej niezręczności.

— Bewer — odpowiedziałem ciszej, jakby zawstydzonym tonem.

— Skarabeusz! — zawołał Deedes wesoło.

W chwilę potem uściskał mi rękę serdecznie, śmiejąc się z mego zmięszania. — Staliśmy niedaleko mego mieszkania, to też poprosiłem go do siebie i rozpoczęliśmy ożywioną pogawędkę.

— I cóż ty tu robisz? — pytałem.

— Jestem urzędnikiem bankowym — odrzekł.

— Chyba nie w Banku kolonialnym? — zawołałem.

— Byłeś tam może dziś? A to mi się udało. Od

rana suszę sobie głowę, by znaleźć rozwiązanie tej zagadki i mam ją wreszcie — wołałem podniecony.

— Nie byłem w banku o tej właśnie porze — odrzekł Deedes. — Rozeszliśmy się prawie wszyscy na śniadanie. Mogę ci tylko opowiedzieć to, co ujrzałem po powrocie. Kasjera zastałem rozciągniętego na ziemi obok kantoru, a o parę kroków dalej leżał trup buchaltera. Śladów krwi nie było nigdzie, obadwaj zostali powaleni odrazu, śmiertelnym uderzeniem w głowę. Kasa była opróżniona, szeroko otwarta, a wewnątrz niej igrały wesoło jasne promienie słońca.

— Ach! cóż byłbym dał, gdyby mi było przeznaczonem znaleźć się w banku w chwili zbrodni.

— Ty byłbyś się oparł niechybnie mordercy — dodałem, spoglądając na jego muskularne ramiona, rysujące się pod wytartym ubraniem. — Że byłbyś skoczył na przeciwnika i powalił go od jednego uderzenia, o tem nie wątpię.

— Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego — odrzekł — w takiej chwili ma się wszystko do wygrania, a nic do stracenia.

— Prócz życia.

— To mniej, niż nic.

— No mój kochany, chyba nie myślisz, że uwierzę w to co mówisz.

— Wierz lub nie, to mi zupełnie obojętne, nie

o to tu chodzi. Daj mi jeszcze papierosa Skarabeusza. Zaczęłeś sam o tej kradzieży i widzę, że cię ten temat bardzo przejął. Jeśli chcesz, będziemy o nim mówić. Mam poważne obawy, by stary f'Auson nie stracił miejsca. On jest dyrektorem i jego było obowiązkiem czuwać, by rewolwer był stale nabity. Przysiągłbym, że był nabity, wszyscy w to wierzyliśmy, ale tygodnie całe nikt tego nie sprawdzał. Podeirzują syna Neda Kely. To posadzenie nie wytrzymuje krytyki. Nie trzeba zbyt daleko szukać złooczyńcy. Wśród wielce szanownych mieszkańców Geelonga kryć się muszą nielada łotrzyki i to sprawa jednego z nich. Całą energię wyteżę dla wykrycia zbrodniarza. Pokuszę się o zdobycie nagrody, gdy tylko ją ogłoszę.

— A ja ci pomogę — dodałem z zapalem. — Pomogę bezinteresownie w imię honoru i sławy, a także dla przyjemności. Pieniądze ty weźmiesz.

— Ba! — odpowiedział lakonicznie, puszczając gęste kłęby dymu. Po chwili wsparłszy ręce na moich ramionach i uśmiechając się dziwnie, zapytał mnie wprost:

— Dlaczego nie miałbyś się przyłączyć do innego mego przedsięwzięcia? Nie brakowało ci odwagi w swoim czasie w kolegium.

— Do jakiego innego? — pytałem zaintrygowany. — Gdybyśmy tak wspólnie na innym terenie

powtórzyli to samo co dziś zaszło w Banku Kolo-
nialnym?

— Deedes! Co ty mówisz!

— Co ja mówię? Ależ tylko to, co chce powie-
dzied, nie innego mój kochany. Powiedz sam do
czego zda się być uczciwym. Spójrz na mnie; w-
ciąż te manszety, które noszę, podarte, postrzępio-
ne, z których codziennie obcinać muszę strzępki, jak się
obcinać musi paznokcie. Te plamy wytarte na kola-
nach, to oznaki uczciwości. Jestem biedny jak szczeni-
w rynsztoku. To wszystko dzięki uczciwości, ale za-
czynam mieć jej już dosyć. Pomyśl o złoczyńcy,
który umknął szczęśliwie dziś rano, unosząc taki
małutek i zestaw go ze mną. Czy nie chciałbyś być
na jego miejscu?

— Nie!

— W takim razie nie wiesz co to życie mój
drogi. Głupcy uczciwi jak my, nigdy tego nie zro-
zumią, ale ja zmieniłem drogę mego życia. Jeśli je-
den może się podjąć takiej gry, równie dobrze może
się jej podjąć dwóch, a dlaczegożby nie trzech? Mój
Skarabeuszu bądź tym trzecim, a jutro ograbiamy
bank.

— Żarty robisz mój kochany — odpowiedziałem
śmiejąc się — ale jeśli bym kiedykolwiek puszczał się
na taką drogę, bezsprzecznie lubiłbym mieć ciebie
za towarzysza.

Twarz jego nagle nabrała poważnego wyrazu.

— Czy zdecydowałbyś się na awanturniczą przygodę? Mów. Ja nie żartuję. Dotychczasowe moje życie mierzi mnie. Gotów jestem zmienić jego kierunek i pytam się czy nie chciałbyś mi towarzyszyć?

— Nie — odpowiedziałem stanowczo — nie chcę.

I wtedy popatrzyliśmy sobie głęboko w oczy, starając się nawzajem do dna duszy przeniknąć. Zapadło krótkie milczenie. Deedes z równą łatwością wywołał uśmiech na me wargi, jak go z nich spędził przed chwilą swą osobliwą propozycją.

— Dobrze, mój stary Skarabeuszu, dość już tych żartów i blagi, a teraz żegnaj.

To rzekłszy opuścił moje mieszkanie.

Miał dziwny sposób oczarowywania swego otoczenia. Zdolność tę posiadał w tak wysokim stopniu, jak nikt ze znanych mi ludzi, a myśl o tem, jaki wpływ wywierał zawsze na mnie dziś jeszcze, gdy kreślę te słowa rumieniec wstydu wywołuje na moje policzki. Charakter jego był ciekawą mieszaniną energii i egoizmu, a w jego pojęciu cel zawsze usprawiedliwiał środki. Był w nim jeszcze pewien osobliwy rys, który trudno oddać słowami; oczarowywał człowieka, odpychając go równocześnie, wzbudzał podziw, nakazując pogardzać sobą. W kolegium cieszył się niezwykłą popularnością, a magi-

cznym urokiem jaki na swych towarzyszów wywierał, zdziałał dużo złego. Był w jednej osobie, ciężką żmora, wychowawców i bożyszczem kolegów.

Tego wieczora, opanowany powracającą myślą o naszym ciekawem spotkaniu, długi czas nie mogłem zasnąć. Rozebrawszy się, zapaliłem fajkę, a oparłszy się o framugę otwartego okna, patrzyłem w zamyśleniu przed siebie. W tej chwili usłyszałem na ulicy dwa odgłosy, które podnieciły moją uwagę. Dwa ostre gwizdnięcia dały się słyszeć prawie równocześnie; jedno w oddali, a drugie tak blisko, że zdawało się wychodzić z pod okien mego mieszkania. Wychyliłem się, by spojrzeć na ulicę. Biały kaszkiet i białe spodnie policjan'ta mignęły mi w słabym blasku latarni i zniknęły w ciemności. Okno moje nie było położone wysoko nad ziemią, to też w jednej chwili ześliznąłem się na ulicę i puściłem się w pogoń za białym kaszkietem. Byłem bosy i miałem na sobie tylko pyjamę. W pewnym oddaleniu spostrzegłem mego policjanta, który zamajaczył na chwilę, skręcając w boczną ulicę. Z szybkością jelenia pedziłem za nim, śmiejąc się w duchu z mego osobliwego położenia. Wyglądało to jak gdybym robił obławę na policjanta, który uciekając, nie mógł słyszeć mych kroków. Dopędziłem go z łatwością, kładąc rękę na jego ramieniu, zanim mógł spostrzec się, że gonię za nim. Nigdy w życiu nie

zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy zatrzymawszy się zwrócił ku mnie wynierzony rewolwer.

— Nie bój się pan, nie jestem tym, którego ścigasz. Spieszmy się, będę panu towarzyszył.

Zaklął pod nosem i popędził dalej. Podczas całej naszej gonitwy, daleka gwizdawka nie milkła ani na chwilę, wołając przeraźliwie o pomoc. Dobięliśmy do przedmieścia. Tajemnicza gwizdawka musiała być teraz bardzo blisko, a gdyśmy skręcali w boczną ulicę natknęliśmy się na policyjanta, który ukryty w niszy opustoszałego domu zatrzymał nas pośpiesznie.

— Teraz jest nas dosyć — szepnął, chowając gwizdawkę. — Jeden z naszych ludzi stoi na czatach po przeciwnej stronie domu. Ptaszek złapał się sam w pułapkę. Ale kogo to towarzyszu przyprowadzasz ze sobą — spytał, wskazując na mnie.

— Ja na ochotnika — odpowiedziałem mu — nie zabronicie mi panowie być wam pomocnym, gdy sposobność się nadarzy.

Chwilę potem przyłączyłem się do trzeciego policyjanta, który pilnował tylnego wejścia, podczas gdy dwaj pozostali weszli do środka frontowymi drzwiami.

Nie wiem jak długo czekaliśmy, ale po jakiejś chwili, światło latarek wewnątrz domu przestało

pełgać po szybach. Widocznie udali się na górne piętro. Wtedy to usłyszeliśmy donośne nawoływanie.

— Nareszcie — zawołał mój towarzysz, zbliżając się do tylnej bramy.

Odsunęto cicho rygiel po przeciwnej stronie i ku naszemu rozczarowaniu ujrzelśmy w drzwiach sierżanta, który w milczeniu wzywał nas, by iść za nim. Mielśmy wyważyć drzwi zamkniętego pokoju przy kuchni, gdzie jak nas szeptem zapewniał sierżant, miała się ukryć tropiona zwierzyna.

Nie znaleźliśmy jej jednak, a ja odetchnąłem z prawdziwą ulgą. Nietylko pokój był próżny, ale i okno szczelnie od wewnątrz zamknięte. Wtedy to zeszliśmy na dół, by przetrzasnąć piwnice, ale także bez rezultatu. Zacząłem nabierać przekonania, że wogóle nikogo niema w tym domu i kiedy policjanci gorączkując się coraz bardziej pobiegli na górę, przeszukać mając sard, ja pozostałem spokojnie na dole, zdecydowany nie ruszać się z miejsca. Pokój, który dopiero co opuścili, obrałem sobie na miejsce wyczekiwania. W jakimkolwiek miejscu ukryłby się poszukiwany, pewnem było, że nie w tym pokoju.

Jakież było moje, pełne grozy zdumienie, gdy nagle ujrzałem go u moich bosych stóp. Przerazenie wbiło mi nogi w ziemię; niezdolny byłem zawołać o pomoc ani zastanowić się co mi zsynić wypadało. Oczy wlepiłem w podłogę, śledząc przy słabem świa-

telku pozostawionej świeczki, unosząca się deska. Wśród kurzu i brudu rozpoznałem rysy mego kolegi Deedes'a.

— Na miłość Boską, pomóż mi wyjść z tej kryjówki — prosił przyciszonym szeptem.

— Deedes! — zawołałem w osłupieniu niezdolny nic więcej powiedzieć.

— Tak, tak, to ja — spieszyl mnie upewnić. — Wspomnij nasze dziecinne lata wspólnie przeżyte i ratuj mię. Powiedz, gdzie są policjanci, czy poszli już?

— Są na górze, ale do diabła co za tajemnica kryje się w tem wszystkim? — szeptałem z rosnącym rozdrażnieniem.

— Pomyłka, wstrętna pomyłka. Wkrótce potem gdy wyszedłem od ciebie, zauważyłem, że śledzą mnie i tu się skryłem, ale policjant, który szedł za mną nie śmiał wejść do domu. Uczuwszy chwiejącą się pod nogami, oderwaną deskę podłogi, podniosłem ją i tu się skryłem, podczas gdy on gwizdawką wzywał pomocy. Ta okoliczność uratowała mnie.

— Tak sądzisz? Nie jestem tego pewny — dodałem szeptem, przykładając ucho do drzwi. — Ale za co cię ścigają?

— Czybyś uwierzył! Posądzają mnie o okradzenie banku, podczas gdy ja w krytycznej chwili, spo-

kojnie jadłem u siebie śniadanie. Czy można przypuścić podobną głupotę?

— Jeśliś niewinny, dlaczego uciekasz, jak zbrodniarz? Dlaczego się chowasz? Ale otóż i oni, zbliżają się do drzwi. Wejść do twojej kryjówki, zapóżno uciekać już teraz.

W słabem świetle świecy twarz jego wydawała się niezmiernie blada, wśród plam z kurzu i brudu.

— Dopomożesz mi — szeptał przerażony — na pamięć naszych dobrych, dziecięcych lat, zaklinam cię.

Grał na słabej strunie mej duszy, którą mu nieopatrznie odkryłem, podczas naszej wieczornej pogawędki. Dałem mu znak ręką, by się uciszył i znowu pilnie nadśluchiwałem.

— Gdzie są teraz — pytał.

— Przeszukują przeciwną stronę domu. Nie wychodź z kryjówki, ja wrócę tu potem do ciebie.

Zniknął pod deskami podłogi, a ja pospieszyłem naprzeciw policjantów. W tym samym czasie brzask dnia zaczął dyskretnie rozpraszać ciemności i uczulem przejmujący chłód, nie mając nic na sobie prócz lekkiej pyjamy.

Gdyśmy się rozeszli wśród podziękowań składanych mi przez moich przygodnych towarzyszy, pospieszyłem do domu, skąd w godzinę potem odpowiednio ubrany wróciłem do opustoszałego domu.

Nie było już śladu z policjantów i z łatwością, nie będąc przez nikogo widzianym, wsunąłem się przez okna do środka. Naprzeciw mnie stanął Deedes z rewolwerem w ręku.

Przez chwilę miałem pewne wątpliwości co do jego zamiarów, ale zgadując moje myśli uśmiechnął się tylko i włożył broń do kieszeni.

— Nie bój się Skarabeuszu, to nie dla ciebie, ale pamiętasz, że mi obiecałeś pomóc?

— Nie, tego sobie nie przypominam, powiedziałem tylko, że wrócę tu jeszcze. Dopomogę ci, ale pod pewnymi warunkami.

— Chcesz się ze mną podzielić, co? Niech i tak będzie.

— Gdzie są pieniądze, nie chcę działu, chcę całej sumy.

— Zanadto jesteś chciwy, mój drogi — odpowiedział.

— Cóż ty sobie myślisz — zawołałem oburzony — czy przyuszczasz, że dam się tu przyłapać razem z tobą? Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, bo zostawię cię tu samego i radź sobie potem jak sam chcesz. Żądam całej sumy, by ją zwrócić bankowi, a wtedy zrobię dla ciebie co mogę, by cię uratować; prędzej nie.

Czarne oczy Deedes'a błysnęły złym ogniem.

— Bardzo dobrze — odrzekł — ale pieniędzy nie mam przy sobie. Ukryłem je już poprzednio.

— Powiedz mi gdzie?

— Nie mogę, nie potrafię ci wytłumaczyć, ale przyjmuję twoje warunki. Przynies mi dziś wieczór inne ubranie, a daję ci słowo, że będziesz miał całą sumę nienaruszoną. Nakłoń starego l'Auson, żeby się ze mną widział. Powiedz mu, że to był żart, zakład, cokolwiek chcesz. Będzie chętny do zgody, ma on swoje przyczyny po temu. Podczas gdy poszedłeś do domu, ja tu nie traciłem czasu — rzekł Deedes, wsuwając mi w rękę kopertę do mnie zaadresowaną.

— Weź to i przeczytaj, może nabierzesz lepsze-
go o mnie przekonania i zaklinam cię na wszystkie świętości, zrób co możesz, by te dwa listy, które ci daję, doszły pod wskazanym adresem.

Obiecałem, a w godzinę później, bezpieczny u siebie w mieszkaniu, odczytywałem list, którego ton tak mnie wzburzył, że nie mam ochoty treści jego przytaczać. Jedyne miał tylko dodatnią stronę, że był zwięzłe napisany. Wyznawał w nim, że kobiety popchnęły go w życiu do różnych szalonych wybryków i że w samem Geelong ma dwie znajome dziewczyny, które chciałby pożegnać. Wręczył mi dwa listy, ale bez adresów. Pierwszy, trójkątny, miałem zatknąć za rynnę pawilonu przytykającego do placu tenisowego. Prosił bym to uczynić z wszelką ostroż-

nością, gdy będę pewnym, że niema nikogo w pobliżu. Będzie mi za to ogromnie wdzięczny, a jeszcze wdzięczniejszy mi będzie, gdy list czworokątny wsunę nieznacznie do książki z kantyczkami, leżącej na ustronnej ławce we wskazanym kościele.

Spojrzałem na zegarek, dochodziło południe. Udałem się wprost do owego kościoła i tam bez trudności odnalazłem ławkę stojącą na uboczu, profanując grubo zbiór hymnów i pieśni kościelnych wsunięciem miłosnego listu między święte kartki. Wyszedłem z kościoła rozglądając się wokół, z wszelkiemi ostrożnościami podejrzanego osobnika, jakim stałem się mimo woli przez dziwne losów zrządzenie. Kościół był pusty, a gdy go opuszczałem natknąłem się w kruszcu na mężczyznę kolosalnego wzrostu, o siwej brodzie, który przeszył mię badawczem spojrzeniem. Chwilę potem, wiedziony dziwnym instynktem zawróciłem na miejscu i zaglądnąłem do wnętrza kościoła. Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem mego kolosa, trzymającego w rękę kwadratową kopertę, której bynajmniej nie starał się ukryć. Czekałem na niego w przedsiönku, i miałem wrażenie, że z każdym krokiem przybywa mu sześć cali wysokości.

— Przepraszam pana — odezwałem się — wyjął pan z książki pismo, które nie było dla niego przeznaczone.

— Jakże pan wie o tem?

— List ten miała odebrać pewna panienska.

— Doskonale — odpowiedział nieznajomy, wpatrując się we mnie lekko zmrużonemi oczyma — jestem jej ojcem.

I to było wszystko. Przeszedł koło mnie bez słowa groźby, czy wymówki, wkładając z całym spokojem list do kieszeni i kierując się w stronę cmentarza, podczas gdy ja miotałem się w bezsilnej wściekłości, rozpaczając w duchu, że nie mam bodaj połowy jego wzrostu by się nań rzucić i zadławić go.

Rozciekawiony coraz bardziej rolą, jaką mi zbieg okoliczności kazał w tem wszystkim odegrać i niezrażony mem pierwszym niepowodzeniem, znalazłem się w godzinę potem na placu tenisowym, zatknąwszy w stosownej chwili trójkątny list za rynnę pawilonu.

Skończyłem właśnie partję, choć gra minęła mi w rozstargnieniu, cały czas bowiem śledziłem pilnie każdą z nowoprzybyłych, bacząc czy na której twarzy nie spostrzegę podejrzanych rumieńców lub źle ukrywanego zmieszania. Ale niczego dopatrzeć nie mogłem, mimo, że zbliżywszy się do pawilonu, przekonałem się, że list ze skrytki wyjęto. Nie miałem pojęcia kogo podejrzawać. Każda z obecnych panien, mówiła o Deedes'ie z niewinnem i naturalnem zaciekawieniem. Równie dobrze mogła to być ta, jak tamta, do której list był wystosowany. Jak gdyby wyczuwały

intuicyjnie, że pośrednio i moje ręce były krwią niewinną uwalane, zwracały się do mnie wszystkie, dręcząc mnie niekończącemi się pytaniami. Nigdy, przysięgam wam, nie było równie kłopotliwego położenia. A jednak nikt nie mógł wysondować głębi mego wzruszenia, tak napozór, zdołałem się mistrzowsko opanować. Jedną tylko młodą dziewczyną, która nie zwiększała mego zmieszania wypytywaniem o Deedes'a, to była Enid l'Auson. Przez cały czas imię jego nie zostało ani razu wymienione między nami. Często, szukając pilek lub odpoczywając, na ustromej laweczce między jedną grą a drugą, znajdowaliśmy się sami na uboczu, ale ani słowa nie odezwała się do mnie. Oczy jej pełne były bólu, a rozpacz która się w nich malowała zwracała powszechną uwagę. Musiała być wielką przyczyną takiego wstrząśnienia. Pocięsałem się w duchu myśla, że przynajmniej trójkątna koperta nie znajduje się w jej ręku.

A jednak przyszła bardzo wcześnie, ubrała tennissowe trzewiki, a potem nie chciała grać wcale. Wszystko to wydało mi się dziwnem, w połączeniu z tą niema grozą w spojrzeniu.

Starałem się rozpocząć rozmowę — poruszając tylko obojętne temata. Mimo wielkiego trudu jak dla siebie zadałem, by wywołać uśmiech na jej ślicznej twarzy, pokierowałem tak niemądrze rozmową, że oczy jej w jednej chwili zalały się łzami.

— Musi pani mieć wiele zmartwienia z tą całą sprawą. Co dzieje się nadal w banku? — pytałem ze współczuciem.

— Ojciec mój został wezwany przez dyrektora w Melbourne, a matka moja leży chora — odpowiedziała z stłumionem łkaniem. — Oh! panie Bewer, to straszne, straszne, wszystko co się stało. Pan pewnie dziwi się w duchu, jak w podobnych warunkach ja mogę się tu znajdować, ale proszę mi wierzyć, musiałam mieć ważne przyczyny, jeśli tu przyszedłam, zamiast pielęgnować moją matkę.

Głucha wściekłość chwyciła mnie za gardło, na sprawcę tylu ludzkich nieszczęść. Jeśli do niedawna jeszcze, mogłem wchodzić w układy z Deedes'em, to dziś lzy tej uroczej dziewczyny kazały mi szczerze żałować mego kroku.

Tłumacząc się bezsennością, pożegnałem wkrótce Enid l'Auson.

Wieczorem tego samego dnia, odnalazłem Deedes'a w piwnicy niezamieszkałego domu. Był bardzo zmieniony tem całodziennem więzieniem i zwierzył mi się, że dzień ten dłużył mu się jak tygodnie całe. Odniosłem wrażenie, że ogarnęło go nagle wielkie zniechęcenie i przygnębienie.

— Powiedz mi teraz — zacząłem bez wstępu — gdzie są pieniądze i dotrzymaj obietnicy. Myślę że nie zmienił zdania.

— Wielki Boże! pewnie że nie, ale najpierw powiedz mi czy włożyłeś listy na umówione miejsce, i czy przyniosłeś mi przebranie?

— Uczyniłem jedno i drugie — zapewniłem go pośpiesznie, pomijając epizod podjęcia listu przez nieznanego człowieka. Tu masz sztuczną brodę, kupiłem ją u fryzjera z teatru, a tu moje płócienne ubranie i czapkę. Wiem, że są jasne i biją w oczy, ale właśnie w ten sposób odwrócisz od siebie wszelkie podejrzenie.

Deedes przyglądał się dokładnie ubraniu, a w chwilę potem rozbrzmiał śmiech jego tak szczery i wesoły, jakiego nigdy przedtem u niego nie słyszałem.

— Ależ to właśnie przebranie, jakiego mi najbardziej potrzeba — zawołał rozpromieniony. — Daj mi rękę Skarabeuszowi i pomóż wyjść z tej nory.

W parę minut potem stał przedemną w płóciennym ubraniu niepokalanej białości, nie do poznania zmieniony przez długą, jasną brodę. Byliśmy gotowi do wyjścia i bezpieczni, gdyż jak daleko okiem sięgnąć, nie było żywej istoty w pobliżu. Skierowaliśmy się ku plaży, wdzięczni szczęśliwej gwiazdzie, która nas z niebezpiecznego ukrycia wywiodła.

— Teraz — odezwał się Deedes — idź za mną wzdłuż wybrzeża.

— Dlaczego? — spytałem nagle zaniepokojony.

— Czy widzisz ten yacht na lewo w przystani? Faucon się nazywa; tam ukryłem pieniądze, o czym ci dotąd nie mówiłem.

— Nie pójdę — sprzeciwiłem się energicznie. — Jesteś szalony Deedes! Idź zaraz po pieniądze i sam je przyniesiesz, a ja tu będę na ciebie czekał.

— Ależ mój drogi, jedna osoba nie udźwignie tego ciężaru — tłumaczył się wykrętnie.

— A więc zawołaj twego współnika; widzę o sto kroków od nas jakąś podejrzaną postać, zawołaj go tu.

Deedes posłuchał mię, poczem ów nieznamy zwrócił natychmiast i zaczął się ku nam zbliżać. Byłem zdumiony, że usłyszał tak ciche wołanie, ale zdziwienie moje przerodziło się w zgrozę, niedająca się opisać, gdy nagle poznałem w nim mego kolosa, spotkanego rano w kościele. Tknięty straszmem przecuciem, zacząłem wołać: na pomoc, na pomoc!

Wtedy uczułem czyjąś zimną, wilgotną dłoń zaciskającą się na moich ustach; maszty i żagle zawrotały przed memi oczyma, uciekając hen ku gwiazdom, poczem siły mię opuściły i straciłem przytomność.

W jakiejś chwili zbudziłem się w eleganckiej kabini, rozebrany i umieszczony wygodnie na czystym posłaniu, podczas gdy ubranie moje, starannie rozciągnięte na wieszadło, bujało się w prawo i w lewo

w takt ruchu okrętu. Znalazłem się wbrew mojej woli na statku Faucon, który płynął po pełnem morzu.

Wyskoczyłem z łóżka i podbiegłem do drzwi, z góry przekonany, że zastanę je zamknięte. Jakież było moje zdziwienie, gdy drzwi otworzyły się pod naciskiem klamki, a wzrok mój padł do wnętrza obok położonej kabiny, w której stał stół nakryty białym obrusem i zastawiony srebrem i porcelaną. Zamknąłem drzwi z całym spokojem i zrozumiałwszy, że jestem w rękach przebiegłego i niebezpiecznego łotra, postanowiłem się uzbroić w zimną krew i równą przebiegłość.

Ubrałem się i wyszedłem na pokład. Tam spotkałem Deedes'a, który przywitał mnie z całym spokojem, kładąc mi przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Jedziemy do Rio Grande — powiedział — wiedz o tem, a ponieważ okazałeś się dobrym dla mnie i ja chcę ci się odwdziżyć. Powiedz mi, czy choć przez chwilę ludziłeś się, że zrobię to o co mnie prosiłeś? Przypatrz się dobrze, yacht ten jest bardzo znany, jak również Watson jego kapitan, który umyślnie cały dzień krytyczny spędził w Melbourne, aby odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie o współudział w zbrodni. Teraz i on zbiera owoce naszego śmiałego przedsięwzięcia, a i ciebie czeka nagroda i masz prawo się o nią upomnieć.

— Spodziewałem się, że będziesz miał dla mnie względy — odrzekłem znużonym tonem. — Czy cały depozyt bankowy tu się znajduje?

— Wszystkie co do ostatniego centima — odrzekł.

— Któż to jest ten Watson? — pytałem.

Zapoznał mnie chwilę potem z tym prawdziwym wilkiem morskim, ja zaś, mimo postanowienia zachowania zimnej krwi, straciłem panowanie nad sobą i powiedziałem, co o tem wszystkiem myślę.

— Pamiętaj — zasyczał Deedes z hamowaną wściekłością — żeś już zawiele powiedział. Nie przeciągaj struny i bacz, by ten posiłek, który za chwilę masz z nami dzielić, nie był ostatnim w twem życiu.

Po śniadaniu, siedząc na pokładzie i paląc fajkę, zacząłem rozglądać się pilnie dookoła, czy nie ukaże się gdzie na horyzoncie zbawcze pasemko dymu; ale prócz kilku bardzo oddalonych żaglowców, zgoła niczego dopatrzeć nie mogłem. Na niezmaconej, szafirowej tafli morza, jak daleko okiem sięgnąć panował zupełny spokój, który klócić zdawał się tylko nasz biały yachcik, do skrzącego, ruchliwego owada podobny. Watson dłuższy czas rozmawiał z Deedes'em, którego twarz przybrała nagle dziwne ponury wyraz. Byłem pewnym, że czeka nas ostatnia rozprawa, gdy zbliżył się do mnie, ale wbrew oczę-

kiwaniu przeszedł obojętnie, jakby nie zauważył mojej obecności. Wydobył teleskop z kieszeni i pilnie począł się wpatrywać w jeden punkt. Poszedłem za jego wzrokiem, ale mimo całego wysiłku, niczego nie mogłem na horyzoncie dopatrzeć, ni żaglu, ni dymu, wszędzie niczem niezakłócony spokój.

Ale skąd ta nagła zmiana w Deedes'ie i ten widoczny niepokój, malujący się na jego energicznej twarzy? Mocno tem wszystkiem zaintrygowany, zeszedłem na dół.

Jeden rzut oka do wnętrza sąsiedniej kabiny wytłumaczył mi całą zagadkę. Oparta o stół, z zastygłym przerażeniem na twarzy, siedziała Enid l'Auson.

— Pani tu! — zawołałem w najwyższym zdumieniu.

— Tak, to ja, ale uciekaj pan stąd zanim nadejdzie Deedes, on zabronił mi surowo widzieć się z panem.

— Uciekać stąd? Nie widzieć się z pan'ą, to nad moje siły. Zostanę tu tak długo, aż mnie przemocą stąd nie wyprowadzą. Chyba, że pani znajduje się tu z własnej woli, w takim razie...

— Nie, nie — wołała w rozpacz. — Użyto haniebnego podstępu, ohydnych kłamstw, by mnie tu sprowadzić. Żadna siła nie byłaby mnie zmusiła znaleźć się na tym statku.

— W takim razie oboje jesteśmy ofiarami gwałtu i jedna myśl powinna nas teraz łączyć: zemsta. A teraz opowiedz mi pani jak się to wszystko stało.

— Ah! od czego mam zacząć — zawołała Enid l'Auson — tyle byłoby do powiedzenia. Postaram się najwięcej streścić faktu. Deedes od roku pracował w naszym banku. Zna go pan pewnie lepiej odemnie, bo mówią żeście kolegowali w szkołach. Zna pan jego przymioty, mówię o tych, które tak nieprzeparcie pociągają ku niemu serca kobiece. Oczarował i mnie. Byłam szaloną, wie o tem całe Geelong, więc i do uszu pana musiało to dojść. Wszystko jest prawdą, tylko, że nie datuje się ona od dziś, ani od wczoraj, ale od samego początku naszego poznania.

Opanowałam się już od dłuższego czasu, ale i tak czar jego nademną stale trwał. Zna go pan, panie Bower, zrozumie mnie pan zatem z łatwością. Gdy tylko okradziono bank, nie wątpiłam ani chwili, że on był sprawcą. Nie umiem powiedzieć po czem się domyśliłam, wyczułam to od razu w jego głosie i spojrzeniu. I z temi oczyma zbrodniarza, śmiał w dalszym ciągu ubiegać się o moje względy — — — Zaraz po dokonanej zbrodni udałam się do jego mieszkania. Jadał zawsze śniadania u siebie, tak mnie zapewniała jego gospodyni. I w dniu krytycznym kazał sobie podać śniadanie w domu, zastrzegając

tylko, by mu nie prędzej przyniosła deser, aż sam ją wezwie. Zadzwoił po jakimś czasie, tylko nieco później niż zwykle. Pokój jego był na parterze, w tylnej części domu, podczas gdy gospodyni mieszkała od frontu. Do niedawna było przeciwnie, ale na jego żądanie, zamieniono mieszkania. Nakazał jej surowo, by okna kuchenne były stale zasłonięte ze względu na muchy i słońce, które zbyt silnie przyplekało. Słuchała go we wszystkiem. Dalszy ciąg zrozumie pan łatwo, panie Bewer. Ogród banku przytykał do ogródka jego domu, a zaraz po katastrofie znalazłam grudki świeżej ziemi na futrynie okiennej. Opuściłam pospiesznie jego pokój, wymusiwszy na gospodyni, że zachowa tajemnicę. Ale nie dotrzymała słowa i już tego samego wieczora publiczność dowiedziała się o wszystkiem.

Mimo to znalazłam sposób przestrzeżenia Deedes'a, że wiem o jego zbrodni. Nadmieniałam mu także, że jeśli kartką włożoną do znanej nam wspólnie kryjówki wskaże mi, gdzie schował skradzione pieniądze, nikt się nigdy nie dowie, że to on je zrabował. Niech pan nie zapomina, że ja tego człowieka kochałam.

I cóż pan przypuszcza, że mi odpisał w liście, który pan sam zaniósł do klubu tenisowego? Zapewnił mnie solennie, że jeśli o dziesiątej wieczór stawię się na plaży, powie mi gdzie są pieniądze. Gdy

się zjawiłam w umówionem miejscu, oznajmił mi, że ukrył banknoty wśród skał w Queenscliff i że uciekając zabierze mnie ze sobą na statek Faucon i tam wysadzi na drodze. Zabrawszy papiery wartościowe, będę mogła powrócić do Geelong, on zaś zadowolni się tylko złotem. Ojcu memu zależało przedewszystkiem na papierach wartościowych i one stanowiły dziewięć dziesiątych całej wartości.

Wiem dobrze ile moja wiata miała w sobie nawłwnej głupoty, i że obowiązkiem moim było kazać go zaraz aresztować, ale niestety, nie uczyniłam tego, i dziś ponoszę smutne następstwa. Rodzice moi nigdy mi nie przebaczą, ich życie raz na zawsze złamane. I pomyśleć tylko, że ja — ja tu się znajduję — -- to straszne.

Ukrywszy twarz w dłoniach, oddała się niemej boleści. I podczas gdy w kabinie zaległo tragiczne milczenie, w drzwiach ukazał się Deedes. Wepił we mnie spojrzenie o nieokreślonym wyrazie, poczem na chwilę usta jego wykrzywił spazm nerwowy. Teraz wyraźniej, niż przedtem, zdałem sobie sprawę, że toczy go jakaś niezwykła troska. Zamiast kazać mi opuścić kabinę, zamknął drzwi od zewnątrz, pozostawiając nas samych. Enid l'Auson rozpoczęła przerwana rozmowę i właśnie opowiadała mi o bezczelności Deedes'a, który śmiał proponować jej małżeństwo, po wszystkim co zaszło, gdy w tejże chwili on sam zja-

wił się wśród nas, a zdejmując pospiesznie strzelbę, wiszącą na ścianie kajuty, zabierał się do odejścia, nie odzywając się do nas wcale.

— Co zamierzasz uczynić? — zawołała Enid w najwyższym przerażeniu.

Zatrzymał się na chwilę, poczem siląc się na swobodny ton odpowiedział z uśmiechem:

— Spozrzegłem dużego ptaka na wodach, także gatunek... sokoła, i postanowiłem go sprzątnąć; — to rzekłszy, wyszedł na pokład.

— Zawsze okrutny — szepnęła młoda dziewczyna, gdy dały się słyszeć strzały szybko po sobie następujące.

Chciałem wyjść, by zobaczyć, co się dzieje, ale drzwi były na klucz zamknięte. Gdy zbliżałem się do niego poprzedniego siedzenia, kula przeleciała tuż nad głową Enidy i byłaby niewątpliwie ugrzęzła w mojej czaszce, gdybym przed chwilą nie był zmienił miejsca.

— Podły, podły, — wołała nieszczęśliwa dziewczyna.

W te same chwili usłyszeliśmy strzały w pewnym oddaleniu i znowu kula utkwiała w ścianie kajuty.

— Jesteśmy ścigani! — zawołałem. — Kładź się pani na ziemi, inaczej zginiemy.

Wyciągnęliśmy się wzdłuż tapczana i mogli różnic wyraźnie głosy ścigających nas i wzywających do zatrzymania statku, ale Deedes odpowiadał im tylko

swoim Wincestem. Po serii rewolwerowych strzałów, danych prawdopodobnie przez Watsona, domyśliłem się, że pogoń jest tuż za nami. Ściganie to musiało trwać już całe godziny, — tylko my nie wiedzieliśmy o tem i dlatego pozostawiono nas w spokoju. Ale — co mi najbardziej zaimponowało, to dyscyplina, panująca na statku. Domyśliłem się, że ściga nas chyży parowiec, choć nie mogłem tego sprawdzić, albowiem dzielna moja towarzyszka postanowiła tak długo nie zmieniać bezpiecznej pozycji, jak długo i ja nie będę się narażał na niebezpieczeństwo. Jej szafirowe oczy rzucały mi spojrzenia, które w samej chwili śmierci natchnęłyby mnie jeszcze odwagą.

Strzelanina trwała nieprzerwanie po obu stronach, poczem usłyszeliśmy odgłos upadającego ciała i z tą chwilą umilkł rewolwer.

— To nie Deedes, — zapewniłem moją towarzyszkę, — lepiej byłoby jednak, żeby jego kula dosięgła.

— Przestań pan, — zawołała Enid, — to byłoby zbyt straszne. Nie trzeba, żeby umierał. Przy swych niezwykłych zaletach charakteru, może się jeszcze zmienić i ważną rolę odegrać w życiu.

Gdy kończyła te słowa, klucz zgrzytnął w zamku i w drzwiach ukazał się Deedes, ze skrzyżowanymi ramionami i z ironicznym na ustach grymasem Roz-

ciągnięci na ziemi, z wyrazem przerażenia na twarzy, trzymaliśmy jego oczom przedstawiać widok. Uderzyła nas niezwykła zmiana w jego rysach, gdy kamując sardoniczny uśmiech, odezwał się spokojnie.

— Wstańcie, bić się już nie będziemy. Watson ranny, a ja się poddałem. — Enid, za chwilę ojciec twój tu będzie.

— Mój ojciec! — zawołała.

— Tak, twój ojciec i policja; ale zanim tu wejdą, mam ci jeszcze słowo do powiedzenia. Był czas, nie tak dawny — — gdzie z rozkoszą byłabyś się rzuciła w moje ramiona, uczyni to teraz Enid, gdy jestem zgubiony.

Mówiąc te słowa, otworzył szeroko ramiona, a wzrok jego nabrał nieokreślonego wyrazu, szyderczego i wzniesłego zarazem.

W tej chwili spostrzegliśmy pasemko krwi, snujące się po jego białym ubraniu i gęstymi kroplami spadające na ziemię. Zanim miałem czas podskoczyć ku niemu, by go podtrzymać, runął bezwładnie u stóp Enidy.

Deedes nie żył, Watson dogorywał, dwaj policjanci byli ciężko ranni i w tym ponurym nastroju zawracaliśmy do Melbourne. Dochodziła dwunasta w nocy, gdy ujrzeliśmy pierwsze światła portowe. Siedziałem na pokładzie z dyrektorem banku, który stałe wyrażał swą troskę i niepokój o córkę.

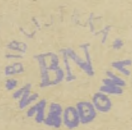
— Pieniądze — mówił — są własnością banku, i te ocalały, ale Enid jest mojem największem dobrem i jakiż skandal przyłgnał na zawsze do jej imienia!

Staralem się go przekonać, że tak nie jest, ale starzec nie chciał mnie nawet słuchać.

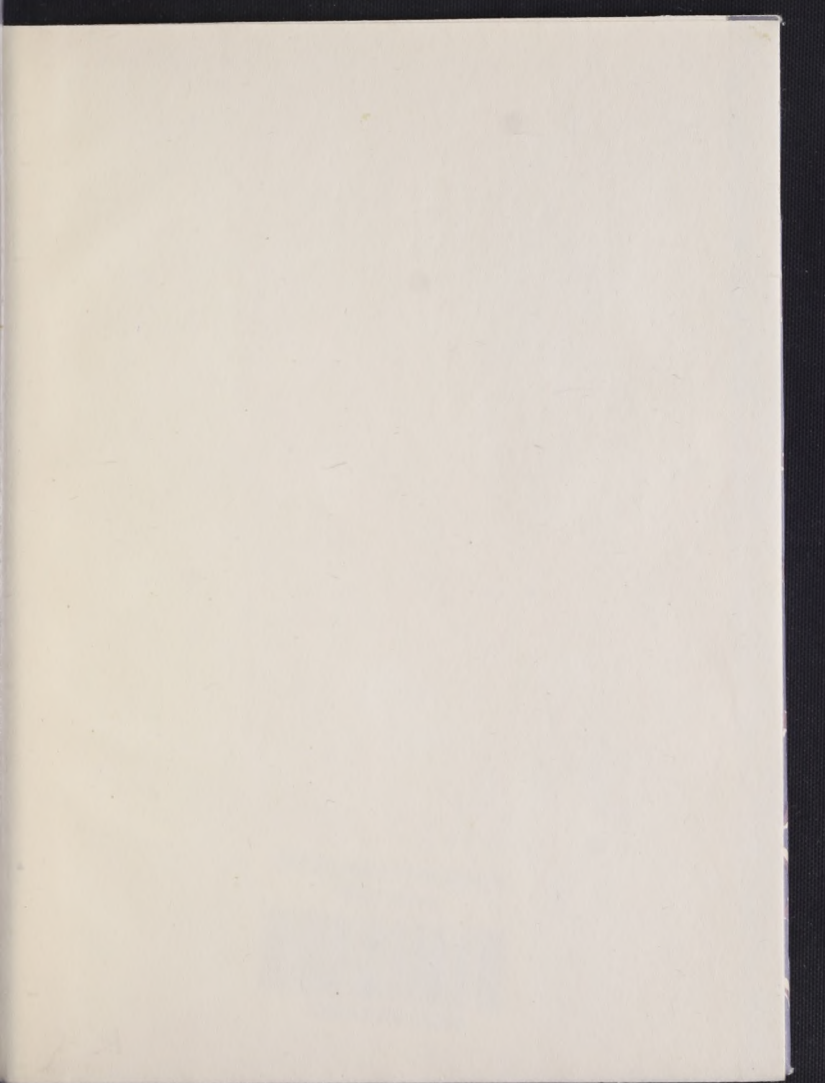
— Nie mów mi tego — wołał w rozpacz. — Znam świat i jego surowy sąd. Niezatarła plama ciąży odtąd będzie na dobrej sławie mojej córki.

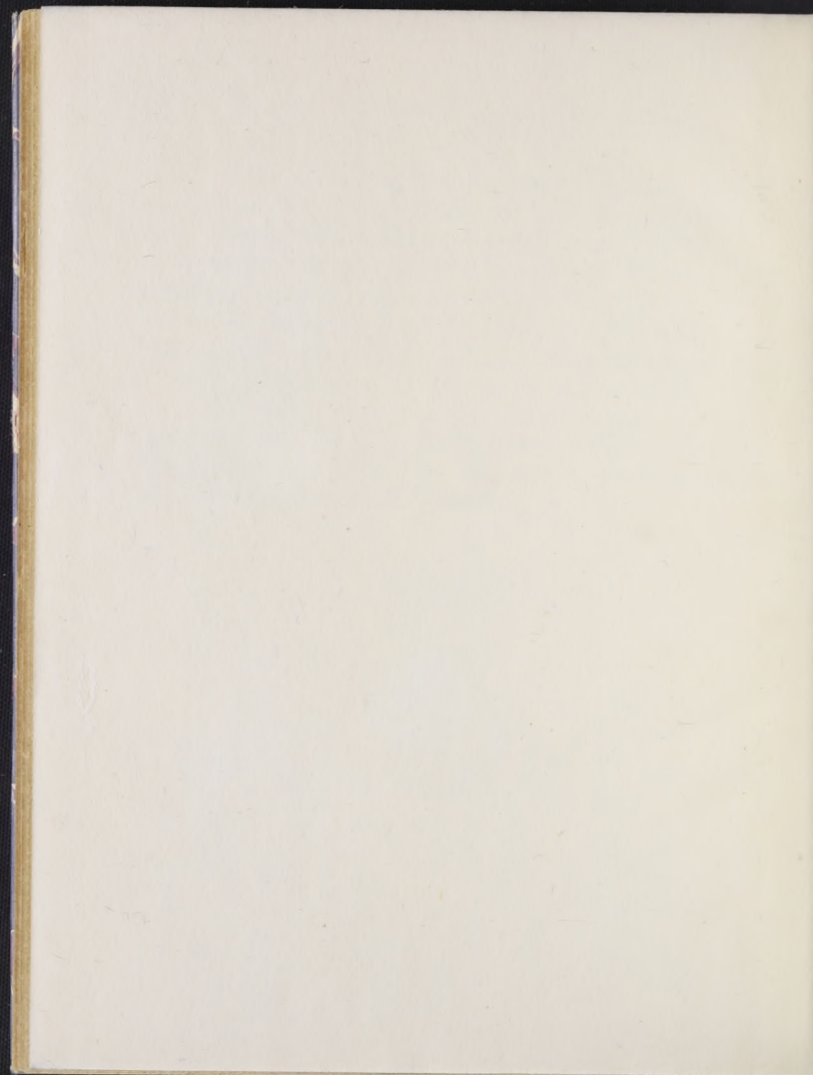
— W takim razie nie potrwa to długo — odrzekłem poważnie, — gdyż Miss Enid postanowiła zostać moją żoną i gdy tylko wyładujemy w Geelong, proszę będziemy państwa o zezwolenie.

KONIEC.



K. Tarduski
W-...
KK





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020813053



1463891

BN

BN